NUMER 13. DNIA 30-go MARCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

JAN ŚWIERK.

Z cyklu: „NIEZAPOMNIANI“.

REZUREKCJA.

(Na podstawie korespondencji z Wilna, umieszczonej w „Czasie“ 1863 roku.)

Z Wilna wyszli 20-go marca...

A byli sami młodzi, w pół dzieci prawie.

Żegnały ich rozpłakane matki, błogosławili starcy osiwiali, patrzyli z podziwem młodsi od nich, których już brać nie chciano.

A szli z ciężarami wielkiemi... bo każdy niósł zapas prochu, kul i broni, nietylko dla siebie, lecz i dla tych towarzyszy, których miał spotkać, lub powołać do służby...

Szedł Andriolli, Mazurkiewicz, Dorożyński i inni, a między niemi czeladnik stolarski, mizerny chłopczyna, Wojtuś.

Ten niósł narzędzia kowalskie, a drugi, silny i barczysty, dźwigał kowadło i dwa kożuchy, darowane przez jednego z mieszczan „dla powstańców“.

I pożegnali bliskich sobie i zostawili Wilno za sobą, a jeszcze jedna matka za niemi szła, cicho łzy ocierając.

— Ciężko Józefowej pożegnać jedynaka — mówi Dorożyński — nic dziwnego.

— Wróćcie się matko — prosi Wojtuś — jużci za mną nie pójdziecie...

— To i zostawisz mię? Jednego-m cię miała i jednego dam?

A Wojtuś z powagą:

— A jak matko do kościoła niesiesz ofiarę, to ci miło i cieszysz się, a jak Ojczyźnie dajesz ofiarę, to płaczesz?... A Pan Jezus, jak szedł na mękę, to także Matkę zostawił, a dla wolności trzeba ofiary... Wróćcie się, matko... nie płaczcie!...

Uboga zarobnica, pożegnawszy ostatnim uściskiem syna, wraca ku miastu, a im dalej jest od syna, tem większy ból ją przejmuje.

Świt poranny zmienia się w jasność dnia.

Miasto się budzi — tu i ówdzie przemknie postać ubogiego robotnika lub kobiety, spieszącej na targ — tu, lub tam słychać głos rozmowy...

A ci, co wyszli o świcie, już są daleko...

Było ich 54 — sami młodzi, wprost dzieci prawie, szli, niosąc zapasy broni i dla siebie i dla innych, a za niemi wlokła się mgła wiosenna i kryła ich, jak obłok, z łez matek uwity...

Ponury piątek przed Czarną Niedzielą pożegnał ich.

Las stał głuchy i ciemny.

Gdzieniegdzie leżały jeszcze resztki śniegu, gdzieniegdzie stawały im przeszkodą wody, rozlane szeroko, a wszędzie zwieszała się przed niemi ta myśl, iż wrogów pełno, niebezpieczeństwo grozi i — trzeba ostrożności.

— Już ośm wiorst przeszliśmy — mówi Mazurkiewicz — znam to miejsce, na prawo chaty, możemy spocząć i weźmiemy przewodnika.

— Co prawda, spocząćby można — potwierdza drugi, a koledzy w śmiech:

— Widzicie!... Dźwiga kowadło i kożuchy, to już o spoczynek woła... sławił się siłą największą, a przecie radby usiąść...

— Spoczniemy, zjemy, co Bóg da i dalej...

Ubogi leśny paniczów przyjął, a po krótkim spoczynku poprowadził dalej.

Szli przez Białuny, Kaplenniki i Mrzemrzyaki, a dopiero o 16 wiorst od Wilna rozłożyli się na nocleg w ciemnym lesie, głuchym lesie, dobrym przytułku dla takich, jak oni — idących na ofiarę...

Śnieg począł sypać obficie, jakby chciał zakryć wszelkie ślady ich przedzierania się przez gąszcza, błota i resztki śniegu dawnego. Wiatr wygrywał dziwną jakąś melodję na suchych badylach trzciny, na bezlistnych konarach drzew, a wierzchołkami płynął szmer dziwny — smętnego jakiegoś rozhoworu starych drzew — dalekich chmur i nocy ciemnej...

Wojtusiowi, który w każdym szeleście zeschłej trzciny słyszał szept matki, w każdym ruchu konara, nad głową zwieszonego, poznawał niby jakąś wielką, czarną rękę, nad sobą wzniesioną, która mu grozi — coś wskazuje i wracać każe — dziwne myśli i uczucia serce przepełniały.

— A jak nie wrócę — szeptał sobie — to i cóż będzie?... Matka przepłacze i zatęskni — ale trudno... Nie ja pierwszy, nie ja ostatni. Ofiara być musi... Ale tylko kto z matką na Rezurekcję pójdzie?... Zawsze to my szli razem, zawsze to śpiewała ona ze mną: „Wesoły nam dziś dzień nastał“ — a na procesji świecę niosła, a ja przy niej... A może ja na Rezurekcję wrócę — może wpadnę na dzień i dalej pogonię?...

Wojtusiowi oczy się snem zasuwają.

Wiatr cichnie. Śnieg sypie się coraz gęstszy, lekki, biały... zdaleka niby szumi wiatr, wierzchołki drzew szepcą: ofiara! ofiara!... sucha trzcina mówi: matka!... matka!... a Wojtusiowi śni się Rezurekcja, świece, procesja i śpiew radosny: „Wesoły nam dziś dzień nastał!“...

W sobotę późno, około 10-ej, zapukano do bramy dworu w Nitkiszkach.

Dorożyński, jako znajomy, pyta służby:

— Pan w domu?

— Nie ma!

— Ani panicza?

— Nie!... Oba panicze pojechali, już z tydzień...

Dorożyński wszedł do mieszkania...

— Marjo! — mówi do narzeczonej — musimy tu spocząć, jest nas 54 — sześć mil idziemy straszną drogą...

— Mama chora, ciężko chora, taty nie ma, ale ty bądź gospodarzem, zarządź wszystko, jak trzeba... abyście tylko byli bezpieczni.

Dwór w Nitkiszkach otoczony był drzewami, na północ przepływa Wilja, dalej las gęsty i rozległy... Na wsi cicho...

Zmęczeni, głodni, zziębnięci radzi byli odpocząć, spędzić noc pod dachem, posilić się i ogrzać.

Noc głucha rozpostarła swe skrzydła — ciche skrzydła, szare skrzydła, a sen szedł od chaty do chaty, kładł na oczy biedaków swą dłoń lekką i na chwilę uciszał wszelkie bole, koił żale, rozpraszał troski...

I powstańców biednych, utrudzonych daleką drogą, wśród trzęsawisk i gąszczy leśnych, sen począł uciszać... kleiły się powieki, czoła się pochylały, milkły gawędy lub narady nad planem jutrzejszej drogi, a gdzieś z oddali, niby przez szkła matowe, poczynały się zjawiać obrazy tych kątków rodzinnych, które zostały w Wilnie, tych twarzy drogich osób, które ich żegnały błogosławieństwem i łzami, tych ócz, które patrzyły długo za niemi, a wpiły się w pamięć głęboko...

I cisza...

Śnieg sypie ciągle, konary drzew lekko się czasem poruszą szelestem jakiegoś rozhoworu, pełnego tajemnic — tu lub tam pierś poruszona silniejszym oddechem przerwie ciszę westchnieniem ciężkiem...

Dorożyński ujął dłonie Marji, utkwił wzrok w jej bladej twarzy i szepce:

— Nadzieją żyć trzeba!... Kto żegna się, jak my, niech pomni o chwili powitania... w wolnej Ojczyźnie weselszy dla nas dzień ślubu zawita...

Oto idziemy do oddziału Wysłoucha, z nim dalej na wroga... krew się poleje, ale wzejdzie po niej plon złoty...

Z pokoju chorej blady błysk światła przedziera się przez drzwi odchylone, oświetla profil smutnej Marji i wyniosłe czoło powstańca.

— Marjo!... czemuż tak cicha?... nic-że mi nie powiesz na tę chwilę rozstania?... Jutro rano las mnie skryje, bór mnie weźmie, walka mnie powoła i nie usłyszę rychło twego głosu — zostaw smutki — żyj obecną chwilą... a gdy na Rezurekcję pójdziesz, przypomnij sobie, jak my, zeszłego roku stali ręka w rękę... tam — w ko-

ściółku starym — a było nam dobrze — wesoło... oh!... jak wesoło...

— Dziś o tem nie dumać — odzywa się Marja — serce przeczuwa inne święta — wiem, że wszystko dla mnie zgasło...

— Marjo!... Tyżeś Polka, tyś tą pełną nadziei i ognia, któraś mnie krzepiła w dniach zwątpienia? Dotknij mego czoła — poznaj, ile w nim ognia... pali się, żarem płonie... dziś chwilka, a jutro to przyszłość, zwycięstwo... wolność!...

Padł strzał...

— Jezus, Marja!... Co to znaczy?...

Dorożyński wybiega. Marja budzi śpiących. Mazurkiewicz wpada z okrzykiem: Moskale!...

Pułkownik Ałchazów, z rotą piechoty finlandzkiej i Kozakami, gnał z Wilna spiesznie, aby dogonić buntowszczyków... Teraz może sobie pohulać... Wszak łatwo zwyciężyć, jeśli się ma siłę sześć razy większą i dobrze uzbrojoną. Walka trwała dość długo; szesnastu Polaków zabitych, rannych kilku, a gdzie reszta, nikt nie wie. Ujść nie mogli, bo byli otoczeni jak pierścieniem żelaznym dookoła — więc, aby się lepiej przekonać, czy „Polaki“ nie skryci gdzieś we dworze, Ałchazów każe podpalać w Nitkiszkach dwór, budynki gospodarskie i całe otoczenie.

Marja, z młodszą siostrą, wynoszą bezprzytomną matkę z płonącego domu, a Kozacy otaczają ich wokoło nie dlatego, aby pomogli dźwigać kobietę chorą, ale aby zdzierać pierścionki z palców panienki i wyrywać kulczyki, świecące zdaleka...

Łuna pożaru oświeca strasznym kolorytem sterczące w ogrodzie drzew konary, rzuca długie cienie z uwijających się jeszcze za łupem Kozaków i w łzach dziewcząt, pochylonych nad omdlałą matką, odbija się skrami piekielnej zemsty łotrów nad niewinnemi...

A gdy do Wilna Ałchazów wrócił i przesłał sprawozdanie o wyniku wyprawy, car telegraficznie mianował pułkownika Ałchazowa kawalerem jakiegoś tam orderu, a Nazimów wydał ucztę z szampanami, muzyką i śpiewami...

Zwycięstwo i tryumf — ognia i mordu...

A wokoło łzy — modlitwa i żałoba...

* * *

A oni szli dalej...

Straszne uczucia ich wiodły. Szedł z niemi ból wielki, jak nieszczęście i krwawił serce i ranił dusze i pytał raz po raz: za co?... za co?... jakiem prawem?.,. gdzie sprawiedliwość?... I szła niepewność ciężka o to, co się stało we dworze z tymi, którzy zostali i ujść nie mogli, co z nieszczęsnemi kobietami, zostawionemi bez żadnej obrony?... I szła za niemi czarna jak noc niedola niewolnictwa, a las cichy, głuchy las — pusty las krył ich w gąszczach, osłaniał mrokiem i szeptał ciągle to samo: „Na walkę! na walkę!“...

* * *

Na Rezurekcję uderzyły wszystkie dzwony w ubogim kościółku w Giegużynie... Lud się wysypał na procesję z światłem i chorągwiami, z śpiewem i muzyką dzwonków, niesionych przez chłopaków, a aż pod niebo biła radosna nuta pieśni: „Wesoły nam dzień dziś nastał!“...

Wyszli z kościoła, aż tu spojrzą... stoi cały oddział powstańców pod bronią na cmentarzu i salutują wszyscy trzykrotnemi wystrzałami i chorągiewką skłaniają się przed, ukrytym pod baldachimem, Tym, który wstał z grobu, a każde usta brzmią śpiewem i powtarzają raz po raz: „Alleluja!... Alleluja!“...

To oddział Wysloucha, który już liczy 600 powstańców i między nimi 80 włościan.

Na Rezurekcję przyszli z leśnych gąszczy i wrócą znów dalej do chat i walk, służby i gonitwy za wrogiem, ale teraz oto stoją rozjaśnieni nadzieją lepszych dni — rozrzewnieni chwilą uroczystą i oblani światłem wschodzącego słońca, które dziś nie ma ani jednej chmury przed sobą na niebie i będzie nieść radość całej ziemi...

Tylko Wojtuś, syn ubogiej wyrobnicy z Wilna, nie stoi tu na procesji, wraz z innymi i nie śpiewa: „Wesoły nam dzień dziś nastał!“, bo go już pogrzebano na cmentarzu w Nitkiszkach, razem z Dorożyńskim, a na ich mogile pochylona w żałobie Marja szepce: „Wieczny odpoczynek“ i łzami skrapia wilgotną ziemię.

Gdy zaś biedna Józefowa szła w Wilnie na Rezurekcję, oglądała się często, czy Wojtusia nie obaczy, bo mówił jej, żegnając: „Przybiegnę i będę z wami i będziemy śpiewali: „Wesoły nam dzień dziś nastał!“...

Ale nie przybiegł i nie śpiewał...

Szkoła nauk politycznych.

Powstała i wkrótce rozpocznie swą działalność nowa instytucja: „Szkoła nauk politycznych“. Ma ona na celu popularyzację nauk społecznych. Nauki społeczne, jak wiadomo, są ożywione i dźwigane różnemi prądami społecznemi, oddziaływują na nie antagonizmy różnych grup społecznych, klasowych i narodowych. Jaki kierunek przyjmie nowa instytucja? Co ma być łącznikiem tych, którzy w niej pracować będą? Pokaże to przyszłość; będzie to wypadkowa dążeń jej członków.

Piszący te słowa, jeden z jej inicjatorów i członków wydziału, jeden z tych, co ma jej poświęcić swe siły tak określa jej kierunek, cel i zakres działania *). Duchem ożywiającym instytucję musi być nacjonalizm, polskość, rzetelny demokratyzm.

Nacjonalizm to znak, pod którym rozpoczyna się XX stulecie. Pozostaje to w związku ze wzrastającem natężeniem międzynarodowej walki ekonomicznej o teren dla produkcji, o warunki produkcji i zbytu, oraz ze wzrostem demokratyzacji społeczeństwa, dzięki której narodowym duchem i dążnościami są przesiąknięte szerokie rzesze ludności, a nie garstka uprzywilejowanych, jak dawniej.

Nacjonalizm niemiecki zradza nacjonalizm polski, zwłaszcza w zaborze pruskim. Nacjonalizm wszechniemiecki w Austrji pociąga za sobą inne partje niemieckie i wywołuje nacjonalizm innych ludów Austrji.

Nacjonalizm wzniecony walką narodową jest też potężnym orężem w walce międzynarodowej o byt i warunki rozwoju poszczególnych narodów. Zaczyna on kiełkować i u nas. Przejawia się w dążnościach unarodowienia sztuki, poszukiwania stylu polskiego, w badaniach nad przejawami myśli polskiej, filozofji narodowej, w pismach dawnych filozofów i poetów zawartej. Pragniemy wydać głos, który byłby nasz. Chcemy wyzwolenia się na każdem polu z obcej przewagi, nietylko przemocy. Czujemy, że polskość „to jest wielka rzecz“. Na polu historji święci tryumfy reakcja przeciwko szkole historycznej krakowskiej, która miała na celu pogodzić nas z losem, zdjąć winę za nasz ucisk, za naszą niewolę z wrogów naszych.

Dziś uznanie społeczeństwa zdobywa badanie doby nowszej i najnowszej prof. Askenazego, obce dawnej apologji dziejów naszych z doby zawczorajszej, oraz duchowi pokutniczej rezygnacji szkoły krakowskiej. Wytwarza się najnowsza szkoła historyczna, usiłująca odnaleźć polską rację stanu, warunki naszego rozwoju i bytu.

Kierunek narodowy przejawia się u nas na polu innych nauk społecznych.

W seminarjum prof. Ochenkowskiego rozebrano szereg referatów z zakresu rozwoju stosunków ekonomicznych Galicji od końca XVIII. w, p. Grabski drukuje obszerne studjum o rozwoju myśli ekonomicznej w Polsce.

Są to pierwsze kroki na drodze, na którą wstąpić musimy. Na obronę naszych interesów ekonomicznych musimy powołać naszą wiedzę ekonomiczną, jak to czynili i czynią Niemcy. Gdy Niemcy mają zawrzeć traktaty handlowe, szereg ekonomistów niemieckich bada stosunki ekonomiczne Niemiec z różnymi krajami. My zaś niemal nie znamy stosunków ekonomicznych ziem polskich. Chcemy zadzierzgnąć między niemi ściślejszą łączność, aby uniknąć tego, co się zdarza obecnie, że produkt galicyjski via Niemcy idzie do Królestwa, musimy więc poznać stosunki ekonomiczne ziem polskich.

Niemiecki ekonomista Weber na akcie w uniwersytecie w Freiburgu (badeńskim) zaznacza, że jednem z najważniejszych zadań ekonomji społecznej w Niemczech, musi być znalezienie skutecznych środków do walki z *Polentum* na kresach wschodnich. Dla nas najważniejszem zadaniem nauk społecznych jest znalezienie środków podtrzymujących nasz byt i ulepszających nasze warunki rozwoju. Musi to dodatnio wpłynąć na naszą wiedzę społeczną. Wielkie cele narodowe za-

*) Niektóre myśli, z poruszonych w artykule, wymagają bliższego omówienia. Rozmaicie n. p. można pojmować termin: nacjonalizm. Inaczej rozumie go przeciętny Moskal albo Prusak, inaczej walczący o niepodległość Polak. W inny sposób ludowiec, w inny zaś narodowy konserwatysta, czy demokrata. *Przyp. Red.*

płądniały wiedzę społeczną i dosyć wspomnieć filozofję Fichtego, szkołę historyczną Puchty-Saviny'ego, reformatorską działalność w ekonomji Lista, który dzięki swemu poczuciu narodowemu zrobił wyłom w kosmopolityzmie i dogmatyzmie wolnego handlu klasyków.

Dźwignią rozwoju wiedzy społecznej jest niezadowolenie ze stanu obecnego społeczeństwa. Tę dźwignię winniśmy posiadać, wszak niema narodu o wyrobionej historycznie indywidualności, o różnobarwnej przeszłości, któryby się znajdował w tak ciężkich warunkach, jak nasz, któryby przeto posiadał więcej prawa do niezadowolenia z teraźniejszości. Brak jednak rozwoju nauk społecznych u nas przypisać należy szeregowi innych nieprzyjaznych okoliczności, oraz do niedawna panującej u nas dążności pogodzenia nas z losem, bez względu na to, jakikolwiek byłby on ciężki.

Bogatą treść może mieć polska nauka społeczna: poznanie oddziaływania na ziemie polskie tych organizmów państwowych, do jakich one wcielone zostały; zbadanie o ile stosunki na ziemiach polskich w dobie porozbiorowej urabiały się pod wpływem naszej świadomości społecznej, której najjaśniejszymi punktami były myśli naszych statystów, nakoniec zebranie tego bogatego doświadczenia, jakie zawiera się w naszych dziejach porozbiorowych, abyśmy nasze sądy polityczne oprzeć mogli na faktach, jakich dostarczają nam te dzieje. Następnie nie powinniśmy zapominać, że wszelkie sprawy społeczne i ekonomiczne, istniejące w społeczeństwach zachodnich europejskich, sprawy związane z produkcją i podziałem istnieją w naszem społeczeństwie i winne być przez naszą naukę opracowane samodzielnie, z uwzględnieniem naszych warunków. Mamy wszelkie potrzeby, jak i inne społeczeństwa, tylko w obec braku bytu politycznego, trudniej nam je zaspakajać, niż innym.

Naszem zadaniem musi być wzmocnienie naszej świadomości społecznej, aby ona, pomimo ciężkich warunków zewnętrznych, przyczyniła się do kształtowania stosunków odpowiednio do interesów naszych.

Nasza świadomość musi być intensywną, tj. pogłębioną przez pracę systematyczną, przez uprawę nauk społecznych z punktu widzenia naszej polskiej racji stanu. Lecz jest to jeszcze niedostatecznem. Świadomość Stasziców, Stroynowskich, Kołłątajów, mogłaby nas uratować w dobie rozbiorowej, gdyby ogarnęła szerokie kręgi społeczeństwa. Nasza świadomość polityczna, aby być siłą twórczą w dziejach, musi być ekstensywną, tj. objąć jak najszersze masy.

Praca nad naszą intesywną i ekstensywną świadomością, winna stać się zadaniem szkoły nauk politycznych. Będzie ona wyższą szkołą narodową. Jak uniwersytet przygotowuje do urzędów państwowych, tak powstająca intytucja ma przygotowywać do działalności obywatelskiej. — Ta działalność w naszych warunkach musi być demokratyczną, gdyż wobec rozkładu ekonomicznego, wobec rezygnacji politycznej, jaka cechuje u nas klasy wyższe, musimy swój byt narodowy oprzeć na ludzie, który z natury rzeczy jest najbardziej odpornym żywiołem w walce narodowej.

Wychodząc z punktu widzenia narodowego, przychodzimy na grunt ludowy.

Naodwrót, wychodząc z punktu widzenia interesów ludowych, musimy stanąć na gruncie narodowym, gdyż sprawa warunków produkcji, terenu produkcji, oraz sprawa kulturalnego rozwoju — sprawy czysto narodowe — leżą w interesach ludu.

Sam socjalizm, doktryna w swoim czasie międzynarodowa, czyni koncesje na rzecz myśli narodowej, np. w 1893 r. polscy socjaliści w zaborze rosyjskim wystawili program niepodległości narodowej, w zaborze pruskim, wbrew formułkom o solidarności interesów proletarjatu, przyszło do zerwania między organizacją polską a niemiecką, koncesje jednak, jakie czyni socjalizm w Galicji na rzecz narodowego kierunku, nie mogą nas zaspokoić, gdyż występuje on w obronie żywiołów z wrogiemi dla nas dążnościami. Monopolu faktycznego w działalności oświatowej wśród ludu nie możemy pozostawić socjalnej demokracji, zresztą praca jej w tym kierunku jest nawet dla jej celów niedostateczną, a z mojego punktu widzenia winna być inną.

Musimy stworzyć działalność oświatową na wielką skalę. Musimy zorganizować, udzielić wskazówek, odpowiednio przygotować cały zastęp prelegentów ludowych. Oto jeden z ważnych punktów działalności nowej instytucji.

Instytucja ta będzie wyższą szkołą narodową. Szkoła zamierza otworzyć dwa kursa systematyczne we Lwowie, każdy trwający po dwa mie-

siące; pierwszy kurs od połowy października, do połowy grudnia, drugi od 1 Lutego do 1 kwietnia, oraz dwumiesięczny kurs obejmujący sierpień i wrzesień, w Zakopanem. W wykładach lwowskich, około 20 wykładów dla każdego przedmiotu, będą wykładane: ekonomja społeczna, polityka ekonomiczna ze szczególnem uwzględnieniem warunków ekonomicznych Polski; statystyka ziem polskich, historja rozbiorów i porozbiorowa, socjologja, prawa publiczne obowiązujące na ziemiach dawnej Polski, historyczna geneza i stan obecny ważniejszych naszych kwestyj jak ruskiej, żydowskiej, litewskiej, emigracji, agrarnej, robotniczej i inne. Plan szczegółowy opracował p. Przysiecki i plan ten będzie rozpatrywany w wydziale Towarzystwa.

Następnie p. Przysiecki opracował projekt „Rocznika Politycznego“, jaki ma wydawać towarzystwo Szkoły Nauk Politycznych. Otóż rocznik ten ma zawierać statystykę ludnościową ziem polskich, najświeższe dane o fizycznym stanie ludności Polski, zarządzenia anti-polskie lub szczególnie ważne dla nas mocarstw zaborczych, wiadomości o ruchu społecznym i naukowym za rok ubiegły.

Wykłady systematyczne lwowskie i zakopiańskie będą jądrem nowej instytucji. Obok wykładów zorganizuje ona seminarja, jedno z nich przeznaczone będzie dla populazytorów wiedzy, ludowych prelegentów. Na prowincji i we Lwowie, towarzystwo Szkoły Nauk Politycznych, będzie zakładało filje i urządzało wykłady pojedyncze i seryjne liczące od 1—6 wykładów w serji dla tych, co nie mogą wysłuchać pełnego kursu Szkoły Nauk Politycznych. Kurs pełny obliczony jest na cztery dwumiesięczne semestry.

Skąd znajdziemy możność urzeczywistnienia naszych planów? Stąd że duch się budzi narodu.

O ile społeczeństwo uzna za pożyteczną działalność szkoły, o tyle popierać będzie ją moralnie i materjalnie.

Wł. Studnicki.

Nieznany autograf Mozarta w Polsce.

Już mało komu zapewne wiadomo dzisiaj, że przed laty był nauczycielem muzyki we Lwowie — Mozart, wprawdzie nie sam twórca nieśmiertelny „Don Juana“, ale młodszy syn jego: *Wolfgang Amadeusz Mozart* (ur. 1791 — zmarł w Karlsbadzie 1844), nieszczególny podobnoś wirtuoz i kompozytor, ale zdolny nauczyciel gry na fortepianie, uczeń Neukommera i Albrechtsbergera. Był on później nauczycielem muzyki we Wiedniu, a przedtem we Lwowie (od 1813 do 1838), gdzie także przez czas pewien był ówczesnego, przeważnie niemieckiego jeszcze Towarzystwa muzycznego dyrektorem. Z żyjących pamięta dzisiaj jeszcze doskonale tę postać jeden chyba tylko p. Karol Lang, fabrykant instrumentów smyczkowych, dziś starzec dziewięćdziesięciodwuletni, uczestnik powstania z r. 1831, a przez lat sześćdziesiąt (1832—1892) „pierwszy flet“ w orkiestrze, najpierw dawnej opery niemieckiej a następnie skarbkowskiego teatru we Lwowie. Z notat, w papierach ś. p. dziadka mego przechowanych, dowiedzieć się mogłem tyle tylko, że dziadek mój, A. W. Cybulski był przez czas pewien uczniem tego Mozarta, i od niego też otrzymał w darze list ojca jego, w którego posiadaniu obecnie się znajduję i który w dosłownym przekładzie polskim po raz pierwszy poniżej ogłaszam.

List ten pisany jest na dwóch stronach, jednej ćwiartki, pismem niedbałem i bardzo nieczytelnem, na pół po włosku, a na pół z salcburska po niemiecku, do tego ówczesną charakterystyczną,

nieustaloną ortografją niemiecką — a nadto posiada jeden ustęp, pisany specjalnym alfabetem, który dopiero na podstawie dość zresztą naiwnie ułożonego, z góry umówionego „klucza“, łatwo dał się odcyfrować. Zdumiewająca jest zrazu ogromna, męska zupełnie pewność rzutu tego pisma, zwłaszcza gdy się zważy, że list ten pisał chłopak wówczas zaledwo czternastoletni; nietrzeba jednak zapominać, że chłopakiem tym, był Mozart, który już w szóstym roku życia skończenie we formie doskonałe komponował utwory, i wówczas był już sławą europejską, a nie dawno właśnie przed napisaniem w mowie będącego listu, w czasie pobytu w Rzymie, usłyszawszy raz w kaplicy sykstyńskiej sławne dziewięcio-głosowe „Miserere“ Allegriego — z pamięci je następnie wiernie przepisał, na skutek czego zakaz papieski kopjowania i rozpowszechniania tego utworu, sam przez się stał się nieważny... List, o którym mowa, należy do cyklu listów pisanych przez Mozarta do ukochanej siostry, z których część posiada salcburskie Mozarteum. Siostra ta: Marja Anna, zwana w domu rodzicielskim „*Nannerl*“, o półczwarta roku starsza od Wolfganga (zmarła w Salcburgu w r. 1829, jako baronowa Sonnenburg), była, jak wiadomo, również niezwykłemi zdolnościami muzycznemi obdarzona, i jeszcze przed rokiem 1770, wraz z bratem powszechny podziw na koncertach w Wiedniu, Monachium, Paryżu i Londynie budziła. Dziwnie serdeczny stosunek łączył tę parę genialnych dzieci — a list poniżej zamieszczony, jest właśnie wyborną tego stosunku ilustracją. Wionie z niego poprostu, poprzez oddalenie lat stu trzydziestu przeszło, niby woń świeża młodości, echo żywe marzeń, umiłowań i wesołych dziecięcych igraszek tych dwojga, w artystycznej atmosferze urodzonych i wychowanych, nawskroś artystycznych natur, z których wybitniejsza stać się miała następnie jednym z największych a najpogodniejszym z pewnością poetą tonów, „Rafaelem muzyki“, a jednym z najszlachetniejszych poetów wogóle, który pogodę swoją, jaka z kart tego listu chłopięcego, tak jasnym prześwieca promieniem, zachować umiał, do końca życia, pomimo tylu trosk, niepowodzeń i nędzy, która mu w końcu na cmentarzu wiedeńskim grób nieznany zgotowała...

Było to w roku 1770. Z końcem r. 1769 opuścił Leopold Mozart Salcburg i tym razem ze synem tylko, puścił się w podróż do Włoch, żonę i córkę w domu pozostawiając. Podróż ta, był to jeden tryumf ustawiczny dla młodego Wolfganga. Już w Weronie i Mantui poklask był niebywały i zaledwie ojciec i syn cztery tygodnie we Włoszech spędzili, już syn dostaje zamówienie na operę dla miasta Medjolanu, którą ma napisać po ukończeniu podróży. W Bolonji zostaje mianowany członkiem słynnej „Accademia filarmonica“, co było rzadkiem ogromnie odznaczeniem. Akademja w Weronie również mianuje go swoim członkiem, a w Rzymie papież udziela mu orderu „Złotej ostrogi“ i podnosi do stanu szlacheckiego. W Neapolu wreszcie entuzjazm dochodzi szczytu, a przesądni Włosi przekonani są, że młody mistrz genjalną technikę swoją zawdzięcza tajemniczemu, w pierścionku schowanemu talizmanowi... Ale ta sława, te zaszczyty, które się na niego sypią, jak z rogu obfitości, nie wbijają bynajmniej w pychę młodego chłopca, który w listach do domu sam wyśmiewa swoje nowe tytuły, swóje włoskie nazwisko „Amadeo Mozartini“, i jak dawniej, o każdy drobiazg życia domowego z dziecinną ciekawością się wypytuje, tęskniąc serdecznie za matką, siostrą, przyjaciółmi a nawet za ulubionym kanarkiem. Oto, co pisze do ukochanej siostry z Neapolu pod datą 19. maja 1770 roku:

(str. 1.).

„Droga siostrzyczko moja!

Na Twój list nie wiem doprawdy, co Ci mam odpisać, gdyż mi właściwie nic prawie nie napisałaś. Menuety p. Haydena przyszlę Ci, skoro tylko mieć będę więcej czasu; pierwszy już Ci posłałem. Ale tego, to już wcale nie rozumiem: piszesz mi, że zostały wykradzione, czyś Ty je wykradła, czy jak?... Proszę Cię, odpisuj mi zaraz, za każdem odejściem poczty. Dziękuję Ci, za przysłanie mi tych łamigłówek rachunkowych, i proszę Cię, jeżeli chcesz, by mnie głowa bolała, przyszlij mi jeszcze trochę tych figli.

Przepraszam Cię, że tak źle piszę, ale przyczyną tego jest, że mnie jeszcze trochę głowa boli. Dwunasty menuet Haydena, który mi przysłałaś, podoba mi się bardzo, a akompaniament dokomponowałaś do niego w sposób niezrównany i bez najmniejszego błędu — proszę Cię, próbuj częściej takich rzeczy. Mama niech nie zapomni kazać wyczyścić obydwie strzelby. Napisz mi, jak się powodzi panu kanarkowi, czy śpiewa jeszcze, i czy jeszcze świszcze? Wiesz, dlaczego myślę

o kanarku? Bo w naszym przedpokoju jest także kanarek, który takie, jak nasz, piski wyprawia. A propos, p. Johannes otrzymać zapewne musiał list gratulacyjny, któryśmy napisać chcieli, gdyby go zaś przypadkowo nie otrzymał, to mu sam ustnie w Salcburgu oświadczę, co w tym liście stać miało. Wczoraj ubraliśmy po raz pierwszy nasze nowe szaty, wyglądaliśmy w nich pięknie, jak aniołowie; obawiam się jednak, że zresztą nic pięknego do domu ze sobą nie przywieziemy. Addio, bądź zdrowa, oświadcz Ance *(d' Nandl)* moje ukłony i niech się pilnie modli za mnie.

Kreślę się

Wolfgang Mozart.

(str. 2.).

30-go rozpocznie się opera, którą Gomelo skomponował. Królowę i Króla, widzieliśmy podczas odpustu w Portici, w kaplicy dworskiej, a i Wezuwiusz widzieliśmy także. Neapol jest piękny, ale tak samo ludny, jak Wiedeń, Paryż i Londyn. Tylko, co się tyczy arogancji ludności, nie wiem, czy Neapol Londynu jeszcze nie przewyższa. Lazzaroni mają tu swego własnego przełożonego, czyli naczelnika, który co miesiąc dwadzieścia pięć dukatów srebrem od króla dostaje, byle tylko Lazzaronów w karbach utrzymywał. Przy operze są tu Deamicisowie, byliśmy u niej i poznała nas odrazu. Drugą operę komponuje Cafaro, trzecią Cicio de Majo, a czwartą nie wiadomo kto jeszcze. Chodź pilnie do Mirabellu na litanje, i słuchaj Regina coeli, albo Salve Regina, śpij dobrze i niech ci się nic złego nie przyśni. Panu Schiedenkoferowi moje okrutne pozdrowienie: Tralaliera, tralaliera — i powiedz mu, niech się „Repetiter - Menuet'u“ grać na fortepianie nauczy, ażeby go już nie zapomniał i ażeby do tego doprowadził, ażeby mógł mi sprawić przyjemność, ażebym mu z raz mógł zaakompaniować. Wszystkim drogim przyjaciołom i przyjaciółkom oświadcz moje ukłony, i żyj zdrowa i nie umieraj, ażebyś mi odpisać mogła, ażebym ja znów mógł Ci odpisać i ażebyśmy wciąż robić to mogli, aż do skutku; niemniej ja pozostaję tym, który to będzie robić, dopóki się to w końcu robić już nie da. Tymczasem kreślę się

Wolfgang Mozart“.

Oczywista, że tłumaczenie zaciera mocno czar oryginału, ten specjalny urok, niby zapach końca XVIII. w., tkwiący głównie we figlarnym stylu, pełnym ulubionych w rodzinie Mozartów salcburskich prowincjonalizmów niemieckich, gęsto włoszczyzną przeplatanych. Niektóre rzeczy, jak n. p. przy końcu listu gra słów polegająca na trzynaście razy z kolei z umysłu użytym (i podkreślonym) czasowniku *thun*, są wprost nie do przetłumaczenia.

Adam Cybulski.

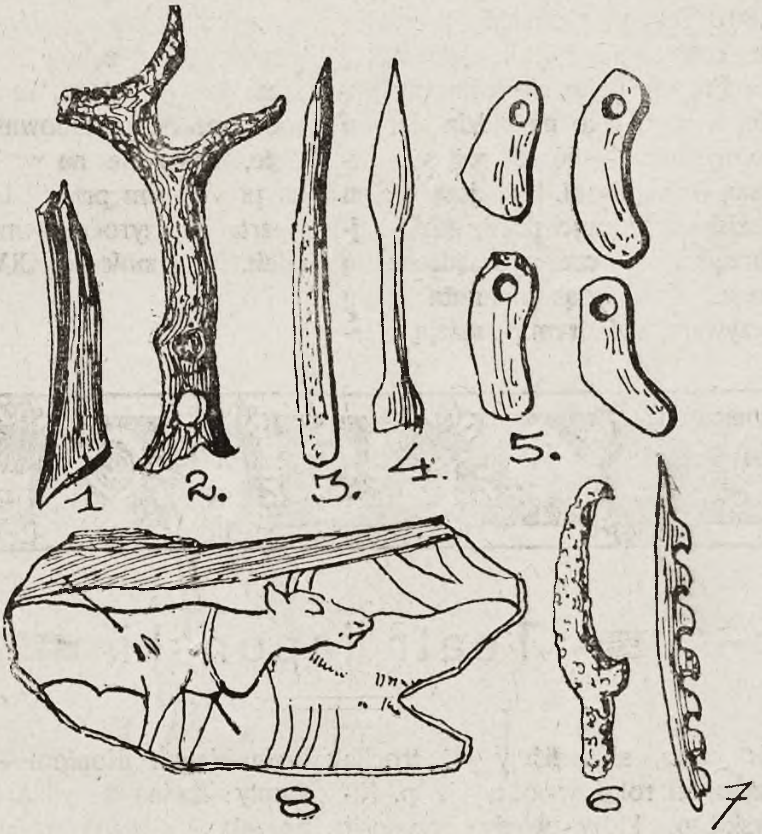
7)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Tak więc według Hirta wymowa dzisiejszych ludów europejskich (Długogłowcy na północnej stronie Alp wymawiają thal, krótkogłowcy ttal), stanowi ślad języków dawnej tubylczej europejskiej rasy. — Dowodziłoby to słuszności twierdzenia p. Kossinny, że „porównawczo językowa metoda przechodzi poza granice swojej możności, kiedy się za pomocą niej jedynie usiłuje odgadnąć stosunki kulturalne czasów pierwotnych“. (Die etnol. Stellung der Ostgermanen. Ind germ. Forsch VII. 285.) Inna natomiast jest rzecz z tem, co jako wiekowy tubylczy dobytek materjalnej odrębnej kultury żyło i rozwijało się niegdyś. — Tam tradycje i doświadczenia, tak stare często, że już

tylko są w dziedzinie oderwanego kultu zamknięte, żyją dłużej często niż język, i z tego względu dokładny rozbiór warunków materjalnego życia zaginionej pozornie epoki jest zawsze doniosłym czynnikiem składowym późniejszych uwarstwowień w kulturze. Patrzenie na ludzkość jako na rezultat uwarstwowień kulturalnych, czem się i nasza metoda odznacza, jest na podobieństwo układu warstw geologicznych wcześniejszych i późniejszych w dziejach ziemi nieodzownem narzędziem myślowem do rozumienia istoty postępu nietylko w zakresie kultury materjalnej, i nietylko w sprawie mieszkań ludowych: — okaże się bowiem w biegu rozważań, że przypuszczenia nasze nie były dowolnemi i że mimo zamazanej w perspektywie dziesiątków tysięcy lat jaskiniowej — kamiennej przeszłości, ślady nieliczne owoczesnej kultury po dziś dzień w dogodniejszych warunkach się zachowały. Rozważmy więc to co wiemy o myśliwcach — jaskiniowcach europejskich. Mówimy o myśliwcach, albowiem to jest istotny mianownik gospodarczy tego ciekawego przedhistorycznego Europejczyka. Z tem znamieniem myśliwca zjawia się on w jaskiniach europejskich, i jak z następujących zauważeń wynika, kto wie, czy już jako „człowiek ujść rzecznych“ trzeciorzędnej t. j. przeddyluwialnej epoki nie wszedł w tę fazę kultury. Wnosić to należy z następujących faktów stwierdzonych przez naukę. — Zapanowanie epoki lodowej w Europie zmieniło gruntownie warunki życiowe. Wzmożone zimno na powierzchni ziemi albo uniemożliwiło istnienie rozmaitym gatunkom zwierząt, albo zmusiło je do przystosowania się. — Przystosowanie to objawiło się obok zmiany w uwłosieniu zapewne (porównać nagiego słonia z gęsto i długowłosym mamutem) dążnością zupełnie naturalną usunięcia się z pod wpływów zaostrzonego klimatu do jaskiń. — Jeśli prawdą jest przypuszczenie braci Sarasinów, że wzmożonej czynności ogniowej ziemi towarzyszy obniżenie temperatury na jej powierzchni, to jaskinie działały przyciągająco na wszystko, co żyło, swoją od temperatury zewnętrznej niezależną i względnie dość wysoką ciepłotą. Jeśli przedstawimy sobie temperaturę dzisiejszych piwnic w zimie, albo też kopalń węgla, to mniej więcej odpowiada to obrazowi, jaki musimy sobie odtworzyć o ówczesnych stosunkach. Rzecz jasna, że najlepsze względnie zewnętrzne warunki klimatyczne gromadziły największą ilość żyjących istot. Jest więc zupełnie zrozumiałem, że w całej Skandynawji, północnych Niemczech i na brzegach jezior alpejskich prawie się tylko neolityczne (z kamienia gładzonego) spotyka bronie i narzędzia, podczas kiedy paleolitycznych (z krzemienia łupanego) brakuje. Stoi to w związku z zajściami, które się odbywały w okresie lodowym i jedynie paleolitycznemu człowiekowi na zewnętrznym zachodnim skrawku europejskich lodowców pozwalały istnieć. Dlatego więc tyle śladów paleoli-



WIZERUNEK I.

1, 2, 3, 4, 6, 7. Broń łowna (haki, strzały, włócznie, karpiny), uczynione z rogu i kości przez jaskiniowca-myśliwego z epoki lodowej. — 5. Ozdoby, naśladujące zęby zwierzyny, jako nawlekana na drut ozdoba (z czasów późniejszych, t. zw. neolitycznych, czyli gładzonego kamienia). — 8. Płytka kościana z wizerunkiem rena, przeszytego strzałą. Rysunek myśliwego z jaskiń francuskich epoki lodowej (minimum 28000 lat temu).

tycznego człowieka z niedoskonałymi toporami krzemiennymi jest w obfitej w bryły krzemienne, wolnej podówczas od lodu Francji, a tak mało w Niemczech i Szwajcarji. Dopiero po cofnięciu się lodowców wielkich mogły się osiedlenia paleolitycznego człowieka posuwać w głąb Niemiec, Szwajcarji i tam, gdzie około Brunszwiku, i t. d. ślady jego istnienia znaleziono“. (Europas Vorgesch. Kultur. Lud. Büchner. Hell. Kulturgesch I. (791, 880). Tem się tłómaczą owe wielkie zbiorowiska kości zwierzęcych, jakiemi są w istocie jaskinie Francji, i tem się tłómaczy poprzednictwo kości i rogu jako narzędzia i broń w ręku dawnego myśliwca. — Kość i róg stanowczo były najstarszą formą broni. Świadczą o tem owe słynne znaleziska grot francuskich, gdzie najdelikatniejsze narzędzia łowcze sporządzane są z kości lub z rogu. Kość i ząb mamuta i róg stają się też tworzywem, w którem powstają pierwsze dzieła sztuki jaskiniowego myśliwca. — Każde upolowane zwierzę daje więc skórę na odzież, a twarde szczątki jako broń lub trofea myśliwskie. Zwyczaj dzisiejszych myśliwych oprawiania rogów, zębów, kłów i pazurów i używanie ich jako ozdoby łowczej istniał w dawniejszych czasach również, jako chęć zdobienia się najprzeróżniejszymi obrobionymi szczątkami upolowanych zwierząt. W Czechach naprzykład znaleziono, już do neolitycznych czasów należące, ozdoby, utworzone z nawlekanych zębów psich i wilczych. Najciekawszem jest jednak to, że obok prawdziwych zębów spostrzeżono naśladownictwa z rogu, albo z kości cięte, uczynione na wzór oryginałów. Widzimy na powyższym przykładzie, jak sztuka ściśle jest opartą o przyrodę zewnętrznego życia ludzkiego. (Zeit. für Etnologie XXVIII ver. 17).

Kazimierz Mokłowski.

Teatr japoński.

O Sadzie Jacco, słyszeliśmy już trochę w przeszłym roku w odczycie p. Kisielewskiego, który wtedy przynosił świeże paryskie wrażenia i rozlewał się w entuzjazmie. O wiele więcej trąbiła reklama dziennikarska.

Trupa japońska, objeżdżając po tryumfach paryskich „resztę“ Europy, obecnie i o Lwów zawadziła. — Pociągnięty rozgłosem tout Léopol, świetny, błyszczący, z mnóstwem wolnopraktykujących wyznawców i głosicieli sztuki, szedł, patrzał zaciekawiony na cały ten świat, zaludniony postaciami w egzotycznych zbrojach i tkaninach, mówiącymi dziwnym, nieznanym językiem, noszącymi na sobie niejako piętno starej, ale skostniałej w swej kulturze rasy. A najciekawiej przyglądał małej, drobnej Japonce o skośnych oczach, wątłej dziecinnie postaci, spowitej w bajeczne szaty, jej bujnym włosom, które ją czasem całą czarną falą zalewały, jej wytwornym, porcelanowo-białym dłoniom — i uśmiechał się. Biegły szepty: Ładna, brzydka, i t. d. Potem publiczność poczęła się nieco nudzić aż do chwili, gdy ta mała Japonka wpadała jak furja z rozwianym włosem, lub gdy, szlochając jak dziecko, kładła się w łoże na śmierć niechybną, albo też gdy ocucona z obłąkania, rozpoznawszy trupa męża, obróciwszy oczy w słup, padała martwa — tak sobie poprostu spokojnie, bez żadnych sztuczek. Albo wreszcie rycerz Morito urządził sobie harakiri i krew broczyła jego śnieżną koszulę, a on sam staczał się po schodach, jak prawdziwy, rzeczywisty trup. Wtedy artystyczny Lwów — świetny i najśmieszniejszy w swej świetności — zatrzymywał dech w piersiach, milkł i skupiał się i prawdziwa, rzetelnie wielka sztuka brała go w swą moc, bo Sada Jacco jest rzeczywiście wielką artystką.

Ale z wyjątkiem tych chwil, było znudzenie, a wynikało ono z pewnego rodzaju nieporozu-

mienia. My wszyscy stajemy w obec obcej sztuki z tem samem usposobieniem, co wobec naszej, i szukamy w niej przedewszystkiem tego, co do czego ta nasza nas przyzwyczaiła.

Tymczasem tu wszystko było odmienne.

Bo przedewszystkiem, o ile można sądzić z tego, co się widziało, teatr japoński różni się tem zasadniczo od naszego, że tu aktor nie służy twórcy, ale sam jest twórcą. On sam jest panem niezawisłym i samodzielnym, niekrępowanym widmem autora, wychylającem się z budki suflera. Te dramaty, które mogliśmy — nietyle słyszeć, ile widzieć — robią wrażenie, jakby wyszły z inprowizacji samych aktorów i później, narósłszy może jeszcze jakiemi dodatkami w ostatecznej formie, skostniały.

Z tego pierwszoplanowego stanowiska sztuki aktorskiej, wysoko cenionej, udoskonalanej z pokolenia w pokolenie, wynikałoby, że aktor improwizując, tworzył bajkę dla siebie, dla swego talentu najdogodniejszą. Rozwój psychologiczny charakteru postaci, powiązanie akcji, to rzecz zbędna, niebywała; zamiast tego wystarczy jaki taki związek i prawdopodobieństwo opowiadania. Stąd też rzeczy te noszą z naszego punktu widzenia cechę niezmiernej prymitywności, w którą swoją drogą wplata się niekiedy (jak np. w dramacie p. t.: „Kesa“) niezrównany sentyment.

W tej sztuce aktorskiej dyskusja, modulacja mowy, wydaje się nie brać tak wielkiego udziału, jak ruch i gest. Swoją drogą, by się w tem upewnić, trzebaby znać dokładnie język, jego naturę i sposób akcentowania w wyrażaniu różnych uczuć. Tak, jak się je tu słyszało, dramaty te z bajką toczą się w dość monotonnie płynnej mowie, stosującej się rytmicznie do taktu instrumentu, odzywającego się za kulisą, a przy ogromnie żywych ruchach nosiły charakter pantomimiczny.

I w tym to zakresie gestu, ruchu, wyrazu twarzy, teatr japoński przedstawia rzeczy wprost zadziwiające, szczególnie tam, gdzie wyrażały się najpierwotniejsze, wprost, że tak powiem, fizjologiczne momenty natury ludzkiej, jak płacz, śmierć, konanie etc. Wychodziły te momenty z naiwnym realizmem.

W pochwytywaniu i zaznaczaniu najdrobniejszych szczegółów — nieraz przechodziły aż w brutalność, a zawsze wywierały wstrząsające wrażenie. Na tej szczupłej i wązkiej scenie oboje artyści wydobywali złudzenie prawdy z taką prostotą, tak „tanio“, tak małymi, ale subtelnie oddanymi szczegółami, do jakich na scenie europejskiej nie przywykliśmy. Żadnych efektów w takich razach, żadnych „kawałów“. Widz podławał się wówczas całej sile złudzenia, idącego ze sceny — mimo najnieprzychylniejszych warunków — takich, jak znajomość języka, brak odpowiedniego przysposobienia psychicznego samym rozwojem akcji dramatu i t. d.

Jest w dramacie „Kesa“ scena, w której bohaterka, mając kochankowi wydać na śmierć swego męża, poświęca się sama i przedtem pisze mu ostatnie słowa pożegnania — scena analogiczna do sceny pisania listu w „Damie kameliowej“. Przypomina się tu mimowoli Sara Bernhardt, dla której rola ta jest pewnego rodzaju tour de force. I nie wiem czemu — ta Japonka, kreśląca z łkaniem skrzywdzonego dziecka małym pędzelkiem, umaczanym w tuszu, ostatnie słowa dla swego ukochanego, bardziej wzruszała, aniżeli lamenty francuskiej tragiczki na tle buduarowego przepychu paryskiej kokoty. Było w grze pierwszej coś, co szło ze źródeł prawdziwej sztuki, poruszało najgłębsze struny żałości w duszy ludzkiej.

A obok takich świetnych chwil, szły sceny oddawane konwencjonalnie jakby utartymi i uświęconymi tradycją sposobami, wyrażającymi poniekąd jakby pewnego rodzaju klasycyzm gry aktorskiej. I stąd powstawała całość, dziwnie złożona, przypominająca ich dzieła sztuki malarskiej, gdzie nieraz obok szablonu w oddawaniu pewnych stron życia lub natury, zaznacza się najsubtelniejsza cyzelacja rysunku w wydobywaniu niesłychanej prawdy, szczegółowa całość ogromnie ciekawa i zajmująca, jako żywy dokument, wydarty z dalekiej, obcej a dawnej kultury.

S.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Teraz zaraz chcesz jechać — zawołał Ignaś.

— Ma się rozumieć. Nie będziemy przecież czekać, aż zostanę wykwintną panną.

Wyrzekła to, śmiejąc się z całego serca. Frazesa brata nie czyniły na niej żadnego wrażenia.

— Jakie też jest jeszcze dziecko z ciebie — odparł.

I chcąc ratować swoją powagę, zaczął opatrywać siodło.

— A cóż to za przedpotopowy grat — zawołał.

Berwicz poczerwieniał.

— Na tem siodle jeździła matka pani Morskiej, żona Brzeszcza — dodał po chwili, akcentując ten fakt, gdyż w jego oczach nadawał przedmiotowi osobliwą cenę.

— A co! nie mówiłem? — zawołał, śmiejąc się Ignaś — spuścizna po prababkach.

— Po babce — poprawił go Berwicz ze smutną powagą.

— Na tem siodle sadzano mnie nieraz — przerwała dziewczyna i prowadzono konia. Nie chcę innego. Zresztą bylem się raz nauczyła jeździć, kup mi, jakie chcesz, stroje i przybory. Mnie to wszystko jedno. Tymczasem każ sobie konia osiodłać, a ja biegnę włożyć długą spodnicę.

Teraz dopiero Jadwinia zwróciła uwagę na biały kostjum brata.

— Ale, do czegoś ty podobny — zawołała ze śmiechem — kucharz, młynarz, czy już niewiem co.

— A to się znasz! — zawołał obrażony. — Naucz się Jadwiniu, że nie trzeba mówić o tem, o czem się nie ma pojęcia. Jest to właśnie na willegjaturze najmodniejszy ubiór dla młodych gentlemenów.

— Oo! Dzięki Bogu, nie jesteś Anglikiem. Anglików nie cierpię, co nam do nich. Ja sobie Poleszuczka i ty Poleszuk.

I nie zwracając uwagi na zgorszoną minę brata, dodała.

— Chodźmy się przebrać.

Pochwyciła go za rękę i pędem pociągnęła ku dworowi.

V.

Przez parę tygodni życie biegło zwykłym trybem. Ignaś przystosowywał się do niego pozornie, ale nie był w tonie z mieszkańcami Maliniec, a ku swemu wielkiemu zdziwieniu nie wywierał na nikim wrażenia, na jakie rachował i nie zyskiwał żadnego wpływu. Na jego wykwintne szaty nikt nie uważał. Co najwyżej Jadwinia śmiała się z jego krawatów, kamaszy, tużurków, mówiąc, że nigdy podobnych nie widziała.

Jemu znów w domu wszystko się nie podobało, byłby chciał zaprowadzić tu ład inny, ale krytykować matki nie śmiał. Bo chociaż łagodna, miała ona jakąś dziwną powagę i stanowczość, która na niego działała. Nieraz w swoim pokoju gotował się do poważnej rozmowy, układał w głowie uwagi, jakie chciał uczynić. Wobec niej przecież milczał. Imponowała mu czemś nieokreślonem i choć się na to zżymał, czuł się wobec tej kobiety, kochającej go nad wszystko, onieśmielonym, jak żak jaki.

Powrót syna nie przyniósł pani Teresie oczekiwanego szczęścia. Uczuła od pierwszej chwili, że pomiędzy nią a nim stanęła jakaś niewidzialna zapora, z której sprawy sobie zdać nie umiała. Pragnęła i szukała jego obecności, a gdy byli razem, ogarniał ją nieokreślony przymus. Ile razy rozpoczęła jaką rozmowę, ta się rwała, jakby niepodobna im było dostroić się do jednego kamertonu.

Zrobiła mu raz uwagę, że nie jest dla Berwicza takim, jakim być powinien, że cała ich rodzina ma dla niego obowiązki, uważa za swego członka.

Ignaś tłumaczył się, że Berwicza szanuje, nie chciał nigdy zrobić mu przykrości, ale żyjąc długo wśród obcych, przywykł do chłodniejszego obejścia, nie umie rzucać się ludziom na szyję, jak to czynił, będąc dzieckiem.

— Przecież mama tę różnicę musi rozumieć — dokończył.

Pani Teresa słuchała syna ze zwykłą, dobrą wolą, chciała zespolić się z nim, przeniknąć go. Odparła jednak bez wahania:

— Nie, moje dziecko. Powiem ci nawet, że mi szczerze przykro, ile razy mówisz „panie“ do Berwisia, lub on do ciebie: „panie Ignacy“.

— O, jeżeli to mamie przykro, mogę się poprawić, chociaż...

— Nie, nie, takie rzeczy powinny płynąć z serca, nie z nakazu. Jeżeli mi przykro, to właśnie z powodu, że tego nie odczuwasz. Dlaczego tak jest Ignasiu? — dodała z gorącem uczuciem.

— Moja mamo, jestem już człowiekiem, nie dzieckiem. Jadwinia powiedziała mi, żem się zmienił. Musi tak być.

Te słowa uderzyły boleśnie panią Teresę, nie dźwięczało w nich nic z tego, co usłyszeć pragnęła.

— Zmieniłeś się, to prawda — odparła powoli — i nie wiem, jak daleko sięga ta zmiana. Zbyt mało byliśmy z sobą w ostatnich czasach. Nie mogę sobie tego darować.

— Musiałem przecież kiedyś wyjść z tego zaklętego koła.

Przyszło jej na myśl, że jeżeli od paru lat Ignaś tak krótko przebywał w Malińcach, to dlatego, że mu atmosfera tutejsza nie przypadała do smaku.

A Ignaś dodał z widocznym naciskiem:

— Tu za to nic się nie zmieniło od kiedy pamiętam.

— Nic dziwnego, obowiązki nie ulegają zmianie.

— Oh! obowiązki. Obowiązek bywa różnie pojmowany.

Spojrzała na syna tak badawczo, że zmieszał się mimowoli, a potem rzucił żartobliwie:

— Ty naprzykład, mamo, narzuciłaś mi obowiązek egzaminów.

— Być może, Ignasiu, że narzucę ci jeszcze wiele podobnych.

— Powiedziałem to tylko, żeby przypomnieć, żem je zdał z woli mamy, nie ze swojej — odparł, jakby chcąc zaznaczyć swoją odrębność.

— Przykro mi, że tego sam nie rozumiesz — wyrzekła smutno — ale mam nadzieję, że gdy dłużej pobędziesz w Malińcach, zmienisz zdanie.

Wyraz twarzy Ignasia świadczył, że matka miała pod tym względem złudzenia. Odmalował się w nim bezmyślny upór, właściwy naturom słabym.

— Ah! mamo! — wyrzekł po chwili namysłu. — Ty masz o wszystkiem tak surowe pojęcia.

— Zdaje mi się, żeś nigdy nie miał powodu uskarżać się na moją surowość — odparła miękko.

— Ja nie, ale wszakże powiedziałaś sama, że gdybym skłamał przed tobą, straciłabyś dla mnie szacunek.

— Czyżbym nie miała słuszności.

— Ah! mój Boże! kłamstwo bywa przecież rozmaite. To chleb powszedni życia. Kłamie się z potrzeby, z przywyknienia, dla przyzwoitości, przez grzeczność, przez delikatność, żeby komu nie zrobić przykrości.

— Jesteśmy w położeniu, które zmusza nas ciągle do kłamstwa. Ale tu idzie o rzecz inną. Ja mówiłam o prawdzie w rodzinie, pomiędzy kochającymi się, żyjącymi jedną myślą i słów moich nie cofam. Pod tym względem masz słuszność: jestem surową. Twoją rzeczą jest stosować się do tego, być zawsze ze mną otwartym.

Mówiła to serdecznie, gorąco, ale nie odebrała żadnej odpowiedzi. Ignaś pozostał zamknięty w sobie.

Po tej rozmowie nie rozjaśniła się atmosfera Maliniec. Pani Teresa tłumiła niepokój. Marynia w milczeniu obserwowała brata. Berwicz chodził jak struty.

Żadne z nich jednak nie dzieliło się swemi obawami, lękając się drugich urazić, lub pogorszyć położenie.

Ignaś stanowił w rodzinie żywioł obcy i musiał sprawiać jej przymus, jak obce ciało, wprodzone do organizmu. A przymus był tem przykrzejszy, że sprawiała go osoba ukochana, której wszyscy w domu przeznaczali pierwsze miejsce.

Ignaś próbował wpływu swego na Jadwinię, która, jako młodsza o lat tyle, powinna była ulegać mu łatwo... A że codzień robili konne wycieczki i dziewczyna okazywała zręczność i odwagę, usiłował znów nieraz olśnić ją modnym światem sportu. Jadwinia przecież śmiała się do rozpuku z opowiadań jego o wykwintnych kobietach, które stawiał jej jako przykład i odpowiadała niezmiennie.

— Już ja taką nie będę.

— Dlaczego, Jadwiniu? — pytał brat. — Zaręczam ci, że panie, przodujące w sporcie, zwracają uwagę powszechną.

— Ja lubię to, co mnie bawi, ale nie pragnę wcale zwracać niczyjej uwagi.

— Boś dziecko...

Jadwinia skrzywiła się pogardliwie. Wychowana poważnie, wdrażana do obowiązkowej pracy, nie czuła się dzieckiem i nie lubiła, by ją za takie uważano.

— Marynia odpowiedziałaby ci to samo — odparła z pewną dumą.

— Bo też dziwnie jesteście wychowane.

— Jakto? — spytała.

Wstrzymała Wiśnię i mierzyła brata oczyma.

— No tak! — mówił Ignaś, czując, że wytłumaczyć się musi. — Panny z naszej sfery mają wykle nauczycielki angielki lub francuzki.

— A my miałyśmy za nauczycielkę panią Poradzką. Pamiętasz ją pewno. Marynia bawiła parę lat w Warszawie, brała lekcje od najlepszych nauczycieli, a po śmierci pani Poradzkiej ona mnie uczy. Pracujemy codzień po parę godzin.

— To nie wystarcza.

— Czemu? Gdyby mama uważała, że to potrzebne, odwiozłaby mnie także do Warszawy.

— Nie rozumiesz, że teraz są inne wymagania. Panna dobrze wychowana, panna światowa...

— Dajże mi pokój z twoim światem. Mama z pewnością wychowuje nas najlepiej. Gdybyśmy tylko potrafiły ją naśladować. Nigdy nie chciałabym być inną. To tobie przewróciło się w głowie z temi dziwnemi wymysłami. Patrząc na ciebie, zdaje mi się ciągle, że ty jakąś rolę odgrywasz, że nie jesteś już tym Ignasiem, który z nami czuł, weselił się i płakał, ale jakimś obcym, z twarzy tylko do tamtego podobnym.

— Nic dziwnego. Każdy zmienia się z wiekiem.

— Szkoda! Jabym się tak zmienić nie chciała, za nic, za nic w świecie.

Cmoknęła na Wiśnię i popędziła galopem.

Brat wzruszył ramionami i pogalopował za nią, mrucząc:

— Nie ma co z nią mówić. Uparty dzieciak.

Oprócz konnych przejażdżek z Jadwinią, Ignaś zwiedzał szczegółowo gospodarstwo w całym malinieckim kluczu. Żądała tego pani Teresa, żądał Berwicz, który uważał, iż przyszły dziedzic powinien poznać majątek, którym rządzić będzie. Uczuł się on teraz odrazu starym, bezsilnym, zniechęconym i pierwszy raz w życiu przyszła mu myśl odpoczynku i złożenia rządów, które dotąd sprawował tak ochotnie i dzielnie.

Pomimo uwag barona Rońskiego i uprzedzenia do wszystkiego, co zastał w Malińcach, Ignaś musiał przyznać, że wszędzie panował ład wzorowy. Gospodarstwo, prowadzone racjonalnie, przynosiło znaczne dochody. Berwicz miał się rzeczywiście czem pochwalić, ale teraz oprowadzał on Ignasia po swojem państwie apatycznie. Zrażony jego chłodnem obejściem, stał się także urzędowym i to, co miało być dla niego rozkoszą, zamieniło się w ciężką służbę. Musiał przytem mieć się ciągle na baczności, by dawnym zwyczajem nie nazwać pana Ignacego Ignasiem.

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Nowe liryki.* El. (Laskowski): „Z Chłopskiej piersi“, M. Wł. M.: „Łezki i uśmiechy“, K. Woyczyński: „Z młodzieńczych snów“. — Jeszcze tak dziesięć, piętnaście lat temu, powszechną była opinja, że się ma ku końcowi „wierszowanemu światu“. Pisał Asnyk, pisała Konopnicka wiersze, z którymi się jeszcze liczono, ale pozatem zaledwie tu i ówdzie ukazał się wierszyk w jakiemś czasopiśmie, a zbiorek wierszy był zarazem i ogromną rzadkością i rzeczą, z którą się nie liczono; z góry przypuszczano w nim brak treści i epigonizm. Powstały nawet były na ten temat teorje o przestarzeniu się poezji wierszowanej. Gdy Kasprowicz i Tetmajer rzucali na rynek księgarski pierwsze swoje utwory, brano się do nich z nieufnością i dopiero złotodajna żyła poezji tzw. nastrojowej rozpętała na nowo *furorem poeticum,* który z początku obracał się prawie wyłącznie w naśladowaniu dekadentów zagranicznych, a potem przystosował nastrojowość do pierwiastków rodzimych. To też w ostatnich czasach obok zbiorków firmowanych już autorów, posypało się mnóstwo tomików „nowych ludzi“.

Oczywiście, że w takiej powodzi niepodobna jest o wszystkich mówić osobno. Przytem, szczególnie wśród poetyckich pierwocin, wychodzi wiele rzeczy drobnych i pod względem jakości i ilości i do takich należą też wymienione w tytule tomiki. Tylko co do pierwszego zrobić można pod pewnym względem wyjątek, a to z dwóch względów. Po pierwsze, p. Laskowski nie jest już nowicjuszem w poezji, powtóre, widać w nim znaczne wyrobienie poetyckie. Zbiorek swój nazwał p. Laskowski „śpiewkami“. I rzeczywiście są to śpiewki,

w charakterze i w tonie, tzn. i co do motywów uczuciowych, z których wyszły i pod względem ujęcia w formę pieśni ludowej. Oczywiście, że czuć gdzieniegdzie, iż to jest sztuczna poezja ludowa, naiwność pojmowania świata, nie ma tej szczerości, jaką ona tchnie w ustach chłopa, widać, że autor piosenek wie, jak chłop patrzy na świat, ale nie wierzy w to tak, jakby chłop wierzył. Po za tem jednak, zarówno te „oberki", „mazurki" i „kujawiaki", jak pieśni o drzewach i chatach, mają sporo energji rozmachu i sentymentu. To też tam, gdzie autor opuszcza ton ludowy i mówi o chłopie od siebie, współczuje z jego dolą najsilniej.

Zupełną pierwociną jest tomik M. Wł. M. i wiersze te noszą też na sobie wyraźne piętno nowicjuszowstwa. Drobne i mgliste uczućka i myśli, nie pozbawione szczerości, mają jednak ten ton, z jakim to nowicjusz, zwłaszcza (jak w tym wypadku) żeńskiego rodzaju, wypowiada rzeczy znane tak, jak gdyby je sam po raz pierwszy formułował. Ale to na pochwałę powinno służyć, że, czy to jakiś własny ból czy cudzy, czy widok natury, odbija szczerze, tak jak mu to przyszło, czego nie można powiedzieć o p. Woyczyńskim, jako autorze trzeciego zbiorku. Jest to jeden z gatunku tych nowicjuszy, co to przedewszystkiem wiele zapowiadają, grożą. Wielką część zbiorku zajmują rozmaicie wypowiadane a komiczne zapowiedzi, co to autor da w swojej pieśni, jaki to na świecie zapanuje raj i t. d., lub pieści się swoimi uczuciami, ale w ten sposób, jak gdyby chciał powiedzieć: „Patrzcie-no, jak to ja ładnie czuję, jakim postępowy, jaka to wielka moja dusza"... jakby cały świat był i żył, tylko dzięki temu, że p. Woyczyński na nim mieszka i pisze o sobie wiersze.

S. W.

*

Poradnik dla Samouków. Powyższe wydawnictwo umożliwia samouctwo na szerszą skalę, reguluje je i nadaje mu kierunek ściśle naukowy.

Poradnik dla samouków jest dziełem sił zbiorowych. Nie wszystkie działy są jednakowo opracowane. Obszernością wskazówek bibljograficznych i umiejętnem ujęciem zagadnień naukowych wyróżniają się: antropologja, socjologja, wstęp do nauk historycznych, historja rozwoju społecznego, opracowane przez Krzywickiego i psychologja, teorja poznania, logika, filozofja, metafizyka i historja nauki — przez Mahrburga.

W każdym dziale wiedzy przed wymienieniem odpowiedniej bibljografji, znajdujemy określenie jej zakresu i metod, któremi się posługuje.

Samouk otrzymuje więc nietylko wskazówki, co ma czytać, lecz dowiaduje się jeszcze o kierunkach panujących w nauce, o metodach używanych przy badaniu itp.

Część I. tego pożytecznego wydawnictwa, doczekała się już po kilku latach drugiego, znacznie zwiększonego wydania.

Część IV., która wyszła niedawno, obejmuje: Wstęp, charakteryzujący ilościowo i jakościowo ruch wydawniczy u nas i zagranicą, rozprawę o systematach wykształcenia i o wykształceniu ogólnem przez Krzywickiego, logikę, teorję poznania, filozofję i metafizykę w opracowaniu Mahrburga, naukę wychowania w opracowaniu Karpowicza, metodykę przez A. Szycównę, historję pedagogiki przez Chmielowskiego, artykuł o popularyzowaniu wiedzy i samouctwie, w końcu znajdujemy dopełnienia do działów wiedzy opracowanych w poprzednich częściach wydawnictwa.

W krótkiej wzmiance nie możemy zatrzymywać się nad poglądami Mahrburga, Karpowicza, Chmielowskiego i panny Szyc. Zaznaczymy tylko, że rozumowania pierwszego o charakterze filozofji, o metafizyce, o teorji poznania są dziś szczególnie bardzo ważne, kiedy lutosławszczyzna wywołuje w głowach naszej inteligencji chaos, kiedy filozofja staje się flirtem o różnych nieokreślonych marzeniach, przeczuciach, kiedy w miejsce ścisłej metody zaleca się jakieś halucynacje, może poetyczne, nie mające jednak nic wspólnego z nauką.

Cztery części „Poradnika" tworzą całość zamkniętą, obejmującą wszystkie działy nauki współczesnej.

Ogółem w „Poradniku" wskazano 4900 tytułów, dzieł wydanych osobno, 2768 dzieł w językach obcych t. j. 56,5% i 2132 w języku polskim, czyli 43,5%. Z pośród dzieł drukowanych w języku polskim na oryginalne przypada 1511, czyli 70,9%.

Z ogólnej liczby poleconych dzieł przypada: na nauki przyrodnicze 30,7%, historyczne 30,6%, społeczne 24,6%, filozoficzne 7,5%, filologiczne 6,6%.

Dane statystyczne, dotyczące ruchu umysłowego u nas i zagranicą, umieszczone w IV. części Poradnika, są bardzo zajmujące i ważne, dla braku miejsca nie możemy się jednak na nich zatrzymywać.

Z dumą powiedzieć możemy, że podręcznik ten jest bez porównania lepiej ułożony, zawiera bogatszy materjał bibljograficzny i rozumowy, od podobnych wydawnictw rosyjskich.

Podobnież literatury francuska i niemiecka, o ile nam wiadomo, nie posiadają podobnych przewodników dla samouków na tak szeroką skalę.

L. K.

PISMA. *Nowe Słowo*, dwutygodnik społeczno-literacki (Nr. 6 z 15. marca b. r.), kończąc pierwszy kwartał wydawnictwa, utyskuje na wielkie trudności, które miało do pokonania, gdyż ludzi, interesujących się kwestją kobiecą, było dotąd u nas niewiele, a znających ją, nie było wcale. Redakcja, przeświadczona o potrzebie i pożytku organu, dążącego do zjednoczenia sił kobiecych, ku pożytecznej działalności i do podniesienia samowiedzy i samodzielności kobiecej, odzywa się do czytelników o poparcie i o jednanie abonentów.

Istotnie, treść ostatniego numeru „Nowego Słowa" jest wielce zajmująca i porusza stosunek kobiet do przemysłu domowego, stanowisko ich w urzędzie nauczycielskim, pokrzywdzenie w prawach politycznych i daje przegląd współczesnego ruchu umysłowego wśród polskich kobiet. Mnóstwo tu ciekawych szczegółów, których niepodobna streszczać w krótkiej wzmiance dziennikarskiej. Zaznaczyć jednak należy opozycję „Nowego Słowa" przeciw popieraniu przemysłu domowego, gdyż tylko w nie-

licznych gałęziach przemysłu domowego artystycznego, wykonywanego jako uboczne zajęcie obok rolnictwa, da się dla pracowników osiągnąć jaki taki dobrobyt, podczas gdy w innych działach tego przemysłu, z powodu konkurencji z wytwórstwem fabrycznem, pracownice popadają w najostatniejszą nędzę, a rozrzucone zdala od wielkich pracowni, nie mogą zorganizować się w celu samoobrony i stają się pastwą najokropniejszego wyzysku. Zdanie to poparte jest licznemi porównawczemi datami statystycznemi, mimo to wydaje się zbyt ogólnikowem.

SZTUKA. *Józef Uprka.* Z powodu wystawy dzieł tego u nas dotąd z nazwiska nawet nieznanego malarza, urządzonej obecnie w warszawskim Salonie Krywulta, przyniosły w ostatnim tygodniu: „Tygodnik illustr." i „Wędrowiec" kilka reprodukcji z jego obrazów, a p. St. R. Lewandowski dał w „Tygodniku" krótką sylwetkę tego zaciekawiającego ludowego malarza czeskiego, a raczej słowackiego. Uprka urodził się bowiem w r. 1862, jako syn rolnika, we wsi Kneždubinie, w morawskiej Słowacczyźnie — i z pochodzenia i przekonania jest Słowakiem. Kształcił się on w Pradze, a następnie w Monachium, Paryżu i Londynie; poczem, ożeniwszy się z włościanką, osiadł we wsi rodzinnej, gdzie od pędzla tylko pług lub kosa go odrywają. W obrazach swoich, których tematem jest wyłącznie życie słowackiego ludu, jest on naturalistą, na którego wpływ największy, zdaje się, wywarł Millet. Maluje przeważnie akwarelą, a kocha się w barwach jaskrawych, zwłaszcza w czerwieni, ulubionym kolorze swego ludu; stąd zarzucają też niektórzy obrazom jego zbytnią krzykliwość. Jest to więc rodzaj słowackiego Wł. Tetmajera. Ładnie bardzo skomponowany jest jego tryptyk „Zdrowaś Marja", o ile sądzić można ze zamieszczonej w „Tygodniku" reprodukcji; z obrazów, jak: „Orka wiosenna" i „Na zarobek", z których nieszczególne reprodukcje przynosi „Wędrowiec", wnosićby można o pewnem pokrewieństwie z Segantinim. Według orzeczenia krytyki czeskiej, która Uprkę za swego uważa, należy on dziś do najwybitniejszych współczesnych czeskich malarzy. Przypuszczam, że w każdym razie wystawa dzieł jego mogłaby dla nas równie być zajmującą i pouczającą, jak dzieła Finlandczyków i Malajoholendrów, których z takim zapałem od jakiegoś czasu prezentuje nam prof. Antoniewicz, na szereg mniej lub więcej szczerych „protestów" się narażając.

A. C.

NOTATKI. *O wpływie narodowym i cywilizacyjnym kobiety polskiej.* Na ten temat odbędzie się ankieta, do której zaproszone zostały wszystkie autorki polskie listem otwartym znanej powieściopisarki, Natalji Krzyżanowskiej, która zamierzając pisać monografję, potrzebuje w tym kierunku niektórych danych z pierwszej ręki. Kwestjonarjusz, załączony do listu otwartego, domaga się możliwie szczegółowych danych, dotyczących: 1) życiorysu, dat, środowiska, w jakiem każda z nich wzrastała, i wpływu psychologicznego, jakie to otoczenie na rozwój twórczości jej mieć mogło; 2) stosunków rodzinnych, o ile która życzy sobie i pozwala, aby one były poruszone; 3) ideałów społecznych i literackich; 4) specjalnych intencyj, jakie w poszczególne swe prace tchnąć pragnęły; 5) wypisu bibljograficznego, wraz z datami i miejscem druku utworów, z pod pióra ich wyszłych.

*

Wzorowe zagrody włościańskie. P. E. Jankowski proponuje w warszawskiej „Gazecie polskiej" urządzenie w Królestwie polskiem wzorowych zagród włościańskich, w których mogliby znaleźć pouczenie praktyczne coraz liczniejsi już włościanie, pragnący postępu i odczuwający potrzebę podźwignięcia i poprawy rolnictwa włościańskiego.

Takie praktyczne szkoły *(fermes écoles)* posiada Francja, a podobne wzorowe gospodarstwa włościańskie są na Śląsku i w Poznańskiem.

Myśl tę samą poruszano już także i w Królestwie parokrotnie, a nawet w paru osadach w czyn wprowadzono. P. Jankowski pragnąłby jednak te usiłowania ująć w pewien system i dlatego radzi na początek stworzyć bodaj w kilkunastu miejscach kraju wzorowe gospodarstwa włościańskie.

Wnioskodawca podaje szczegółowy plan urządzenia gospodarstwa wzorowego i proponuje, aby tą sprawą zajęły się towarzystwa rolnicze, tudzież osoby prywatne. Wzorowe osady powinny być dostępne dla odwiedzających je, celem pouczenia się o sposobie gospodarowania w różnych gałęziach rolnictwa i celem oglądania okazów i wyników pracy. Głównym środkiem takiej praktycznej pedagogji rolniczej miałyby być demonstracje przygodne w ciągu robót gospodarskich. Uwzględnia też wnioskodawca domowy przemysł, dla którego zimową porę wyznacza.

Do zagród włościańskich wzorowych dopuszczać należy młodych parobczaków, synów gospodarskich, którzy powrócą po roku lub dwóch na ojcowski zagon i tworzyć będą materjał na postępowych rolników.

Rzecz jest godna uwagi, a może i w Galicji dałaby się zastosować.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8